

Od autora: „Czytanie jest wychodzeniem naprzeciw temu, co ma się wydarzyć, chociaż nikt jeszcze nie wie, co to będzie...”

(Italo Calvino – Jeśli zimową nocą podróżny)

Co Ciebie Drogi Czytelniku przywiodło do tego tekstu? Tytuł? Sam musisz przyznać, że dość banalny. Właściwie, co mówiący? Ustalmy, że jest zbyt ogólnikowy, odległy, pozbawiony zachęty, bez odcienia erotyczności, zagadkowości i wcale, ale to wcale niezabawny, a do tego dwuznaczny. Czy jest coś bardziej irytującego od dwuznaczności? Z jednej strony jakaś wieść może nas oszołomić, wprowadzić w stan skonfundowania, zaskoczenia, zniesmaczenia, rozczarowania, euforii, radości, smutku, zadumy; albo podjęcia odpowiednich kroków, gdy jest to wieść z sądu, pracy, czy morfologia krwi. Z drugiej jednak strony można też wieść szczęśliwe życie. Sielankowe, pozbawione trosk, bez goryczki rozczarowań (nie kręć tak intensywnie głową, nie zaprzeczaj). Wieść można również żywot świętego (no ok – współczesność nie sprzyja), albo nieść radosną wieść (oby taką).

Autor? Nieznany i zapewne niewart czytania, dlatego właśnie, że nieznany. Co zatem? Tylko nie mów, proszę, że czytałeś teksty w kolejności jak leci, albo – co gorsza – tak jakoś się na niego napatoczyłeś. Albo z nudów, bo dziś pada deszcz, to postanowiłeś poszukać czegoś do poczytania w wirtualnym świecie. Wszedłeś na jakiś portal, taki, którego nazwa składałaby się z najdobitniej dobranych sformułowań od razu trafiających w Twoje zapotrzebowanie poszukiwawcze. A, że to Internet to na pewno trzeba zacząć od portalu. A, że aby cokolwiek mogło zostać przeczytane, to najpierw powinno doświadczyć powstania, poprzez napisanie. To może: pisarski? Eureka! Ktoś idealnie trafił w Twoje potrzeby. To jest to. Dokładnie takiego portalu szukałeś. Takiego, gdzie są publikowane opowiadania i tak jakoś wiedziony instynktem myśliwego znalazłeś się tu. Ale portal to też przejście, wrota, lekko uchylona furtka. Zastanawiasz się teraz, czy chcesz ją szerzej otworzyć i zobaczyć, co kryje się dalej? Czy coś tam w ogóle jest? A może to ugór? Pusta przestrzeń? Czerń monitora? Nicość twórcza? Marnotrawstwo czasu? Rozważasz, co jest lepsze, wszakże mógłbyś teraz spacerować w kaloszach, polegając na ochronnych właściwościach nieprzemakalnego materiału osadzonego na metalowych drucikach wątpliwej konstrukcji. Ale zaczyna wiać mocny wiatr, parasol z bezpiecznego kształtu wypukłego – ulegając mocy podmuchu - staje się odwróconym parasolem, którego forma wręcz krzyczy, że nici z ochrony. A niewinny kapuśniaczek przystacza się w ulewę, aby stać się deszczem nawalnym. Krople nie mają konkretnego kąta spadania. Masz wrażenie, że kapią (co tam kapią!) uderzają, napastliwie atakują, łomoczą, tłuką z każdej strony z niesłychaną mocą i częstotliwością. W kaloszach wody po kostki. Wichura się nasila.

Czy nie bardziej komfortowo jest jednak tutaj?

Nadal się zastanawiasz. Zaglądasz niepewnie na ciągi słów, oczekując jakiejś akcji, zagęszczenia, wartości, przyśpieszenia, więc nie wiesz czy postąpić krok do przodu? Przekroczyć próg? Śmiało! Najlepiej zrób caffè latte, latte macchiato, albo pospolite cappuccino. Dobrze, że jesteś. Nie odchodź. Doczytaj do końca, dla czystej zasady, że jak coś zaczynasz to kończysz. Dla udowodnienia bycia konsekwentnym Czytelnikiem. Przecież z łatwością przebrniesz od początku do końca: od tytułu, poprzez treść do ostatniej maleńkiej kropki, o ile taka się pojawi. Od „co ciebie” do... jeszcze nie wiem do czego, więc nie miej mi za złe braku precyzji.

Powieść (czy opowiadanie, historyjka, może nawet anegdota kilka) niechaj dzieje się tu i wszędzie. Powieść chcę Ciebie Czytelniku na obszary Twojej fantazji, imaginacji, czegoś na kształt pól elizejskich, edenu, raju czytelniczego. Nie twierdę, że mi się to uda, absolutnie nie uważam, że odniosę sukces, wręcz bardzo obawiam się porażki. Ale bądź czujny, podczas gdy ja będę pełny obawy przed Twoim rozczarowaniem, Ty wyostrzaj wzrok i słuch, a może nawet coś usłyszysz (nie chodzi mi o odgłosy remontu z mieszkania obok). Nasze lęki niechaj się równoważą. Twój przed czymś, co być może się Tobie spodoba, a nawet wciągnie. A mój, że nie poddasz się sztuczce i nie zajrzysz, co kryje się w kolejnym zdaniu.

Jesteś nieugięty i lustrujesz kolejne litery, słowa, akapity. Ciągi sformułowań mające na celu wpłynąć na Twoją wyobraźnię, która posiadała moc kształtowania przedmiotów, zdarzeń, czynności, postaci i miejsc.

Niechaj dzieje się to wszystko w teraźniejszości. Tuż obok Ciebie, albo przed Tobą lub w Tobie. Tam jest też jakiś nieokreślony rodzaj głodu za czymś niesprecyzowanym. Skąd wiem? Sam go odczuwam i bynajmniej spożycie lekkiego posiłku na szybko jego nie uśmierzy. Więc nie, nie sięgaj teraz po serek z wymalowanym żółtym cudakiem w zielonym t-shircie!

Akcja się powoli rozkręca. W końcu (ku Twojej i autora uciechu) coś się zaczyna dziać... Dlaczego pomyślałeś o dzianinie, o ciepłym, kaszmirowym swetrze, który zakładała Twoja dziewczyna na pierwsze randki? A teraz usilnie przypominasz sobie jego kolor, fakturę, miękkość? To jak się na niej układał. Pełną, jędrną pierś pod nim? Namiętny pocałunek na zaciętej ławce... Stop. Wracamy do akcji sprzed dzianiny.

Wydarzenia, które będą miały miejsce niechaj roznoszą się zapachem od przeszłości rzucając długi, wahadłowy cień na przyszłość. Wahadłowy, bo niespokojny, rozedrgany, może nawet ciut chaotyczny. Albo wahadłowy, bo ściśle powiązany z wahaniami. To zapach rozkopanej ziemi, ciemnych grudek posklejanego torfu, gliny, porozrzucanych w nieładzie kamieni i niespokojnych snów (czujesz?). Twoich, moich, jej i jego. Ale żadne z nas się do tego nie przyzna. Nasze sny niechaj pozostaną w komfortowej strefie domysłów, w której są bezpieczne, otulone woalem zagadkowości.

Na pierwszy plan wysuwa się pytanie. O czym to będzie?

Jakaś hierarchia, szkic, plan? Cokolwiek, co nada zarys opowieści.

Zatem.

Lubisz polską potrawę, którą kojarzą poza granicami kraju? Tak... dobrze kombinujesz. To będzie twór pełen różnorodności, czyli miszmasz do poczytania.

Poszukiwanie jej nazwy, określnika, imienia

Przylazi nagminnie. Nawet nie staram się mówić przychodzi, bo według obowiązujących norm postrzegania tego, co nachalne i odpowiedniego tego określania stosownymi słowami, które miałyby oddawać cechy zjawiska, czy rzeczy... to ona zawsze przylazi. Nie przychodzi.

Przylązi, siada i się lampi. Wgapia tymi wielkimi kryształowymi oczyskami i wyczekuje. Stosowałem różne metody uniknięcia jej spojrzenia. Wszystkie bezskuteczne.

Chowałem się, ale szybko poskutkowało to nadwyrężeniem stawu kolanowego, bo i to ciągle chylanie wymaga sporej gimnastyki ciała i niebywalej zwinności, a człowiek-guma nigdy ze mnie nie był. A ona cierpliwa jest. Wytrwała. Nie ustępuje tak łatwo i mogę zgięty pół dnia przesiedzieć za łóżkiem, pod stołem, w ciemnym garażu, a ona i tak świdruje mnie oczami wielkimi jak u sarny, przez ścianę, stół, krzesła i inne meble.

Udawałem, że jej nie widzę. Technika o tyle dobra, o ile jednostka obserwowana jest w stanie długo pozorować jej niewidzenie. Ale tak się skupiałem na udawaniu, że jej nie ma, że kończyło się to zderzeniami ze sprzętem domowym, ścianą, framugą. Raz nawet bliskim kontaktem czołowo-nosowym z szybą balkonową. Najwidoczniej przeholowywałem w niedostrzeganiu, ale nie tylko jej.

Śpiewanie. Głośne, ale tu powinno się jednak mieć głos słowika, bo inaczej poza nią zjawiają się zde gustowani moimi zdolnościami wokalnymi sąsiedzi, żądając zaprzestanie darcia mordy, jak to bez skrupułów, zwykli mawiać. I tu smutniałem, bo jednak czwórka z muzyki w podstawówce była naciągana i pan Chłostopiętkowski z czystej przekory, na złość swej żonie, która za mną nie przepadała, bo podpaliłem raz (niespecjalnie) jej rude, kędzierzawe włosy na zajęciach technicznych, co rok wystawiał mi ją na świadectwie końcowym.

Pasjans. Skupienie się na rozkładaniu i odkrywaniu kart nie sprawdziło się z prostej przyczyny. Trzeba się skupić. A jak można tego dokonać, gdy ona jest? Gdy się patrzy i wyczekuje. Karty, podczas tasowania, wypadają z telepiących się rąk. Im większa chęć rozłożenia na gromadki, tym większy stosik nierówno rozsypanych, sztywnych prostokątów przede mną.

Jedzenie. Sam jadłem to i ją częstować chciałem, ale ona nie jada. W każdym razie nie to co ja. Ona się karmi czym innym. Mówi, że chciałaby, abym ją nasycił. To podsuwam talerz. Mówię, zachęcam: „jedz chudzinko”, a ona łzami doprawia danie: że ja nie rozumiem, że nie pojmuję, że to nie jest dobre dla niej. Ona nie lubi. Nie może jadać takich straw.

Wychodzę z domu, ale idzie za mną. Jest cieniem, który się wydłuża i skraca. Oddechem parującym w zimne dni. Stąpa w rytm moich kroków. Cichutko, to znowu głośniej. Przyspieszam, ona też narzuca tempo. Siadam w parku. Siada jak najbliżej mnie. Próbuje uchwycić moją rękę, ale odtrącam ją. Boję się jej dotyku. Tego, że zawiodę. Nie sprawdzę się. W końcu jej to wyjawiam. Wyjawiam powód, bo przecież ona chce dla mnie dobrze. Zawsze chciała. Milczy. Po dłuższej chwili mówi, że wie o tym. Od zawsze wiedziała. Dlatego nie ustępuje, bo taki powód to nie powód.

Zapewniam Ciebie Drogi Czytelniku, że ja też nie znam jej imienia. Nie zdradziła mi go, ale ponoć dla każdego jest czymś innym. Tym, co jest w nadwyżce lub czego najbardziej brak. Może ucieczką, potrzebą, spełnieniem, sumieniem, wewnętrzną zawieruchą? Nadzieją, dziewczyną z piegami, miłością, chłopakiem z opalenizną świadczącą o pracy fizycznej na świeżym powietrzu, natchnieniem, pomocą, ironią losu, szczęściem, wspomnieniem, a może nawet zakurzonym i niezapłaconym rachunkiem, mandatem za przekroczenie prędkości, czy powiadomieniem o konieczności dokonania korekty z urzędu skarbowego, albo sąsiadką z pustą szklanką, będącą jedynie pretekstem, aby Cię odwiedzić.

Jednego jednak jestem pewny. Tego, że dziś może być czymś innym, niż wczoraj, co zupełnie nie ma nic wspólnego z jutrem.

Teraz już pora delikatnie wtopić się w kolejną historyjkę. Może tym razem mniej egzystencjonalną, lżejszą, zabawną, bo - przyznaję - robi się nudno, a moim celem jest zatrzymać Ciebie jak najdłużej. Dla Ciebie tu jestem. Tak, chcę się Tobie przypodobać i dzięki temu skłonić do zbadania wzorkiem kolejnego zdania. Tylko nie mów, że nie lubisz pochlebców...

Lekko i przyjemnie

Postacie:

Celina - żona.

Teofil - mąż, tu jako pierwszoosobowy narrator - dla uzyskania lepszego efektu odbioru - ale w tekście, ani razu nie padnie jego imię, jednak dobrze jest wiedzieć z kim ma się do czynienia.

Gargantuicznie wyglądający jegomość - sprzedawca.

Celina wysłała mnie po zakupy. Zawsze tak zaczyna się mój dzień. Moja żona mówi, że jako głowa rodziny winienem czuwać na straży domowego zaopatrzenia. Mam solidnie działający system nawigacyjny do poruszania się wśród sklepowych alejek, czyli sporządzoną naprędce listę zakupów. Tego wtorkowego ranka było bardzo słonecznie i bezwietrznie, co skłoniło mnie do zajścia na miejski targ. Wokół roznosił się zapach świeżo zerwanych owoców wymieszany z wonią sztucznych włókien wydzielaną przez różnobarwne tekstylia. Chodniki były głęboko wyżłobione, a gdzieniegdzie ich funkcję pełniła, utwardzona dzięki częstym przemarszom kupujących, czarna ziemia.

Pierwsze na mojej liście były ziemniaki. Mocno ściskając rozpiskę w dłoni oraz bezbłędnie wyliczoną kwotę na zakupy, z daleka dostrzegłem ich owalny kształt, więc pewnym krokiem skierowałem się w tę stronę, aby nabyć deficytowy towar. I nagle, nie widzieć czemu, do uszu mych dotarły słowa skierowane bezpośrednio do mej osoby:

- Panie! Chodź pan tu, mam coś dla pana... - Zachęcająco machając ręką, przywoływał mnie mężczyzna, o posturze niebywałych rozmiarów.

- A co pan może mi dać, czego już bym nie miał?

- Dam panu co pan chce, a czego mieć nie może!

- Ooo! To intrygujące.

Podszedłem bliżej i zapytałem:

- A cóż to takiego? – Wziąłem się pewnie pod boki i z szerokim uśmiechem zbliżyłem jeszcze bardziej do nieznajomego.

- A... ile pan jest gotów za to zapłacić?

- To zależy jak bardzo tego mieć nie mogę. – Zabawa zaczynała mnie wciągać.

- Hm... - Gargantuicznie wyglądający jegomość podrapał się w spłowiałą od słońca grzywę i wyrecytował:

Gdy sen zmorzy - się pojawi

Przyszłość swoją ci objawi.

Sprawi, wznieci i wskaże...

Musisz tylko rzec: ja marzę!

Jak na komendę wyrecytowałem:

- Ja marzę!

- Nie teraz... jak przyjdzie do pana. Ale zanim przyjdzie to musi pan mi zapłacić.

- Zapłacić? Za nic?! To żart?

Zacząłem się niepewnie rozglądać w poszukiwaniu ukrytych kamer, czy podejrzenie wyglądających furgonetek, co byłoby odpowiedzią na niecodzienne zachowanie sprzedawcy, ale nic nie dostrzegłem.

- Nie... nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny... – kontynuował jegomość. - I niech pan się zastanowi, żeby tylko pan potem nie żałował, że życie do dupy! Robota nijaka, mało ambitna, niskie zarobki, składki emerytalne i zdrowotne za wysokie! Że żona nie okazuje uczuć! Żeby pan potem nie skomlał i nie prosił, gdy już będzie za późno!

Jego argumentacja wydała mi się bardzo mocna.

- A ile pan chce?

- Pana sen.

Pomyślałem, że typ z rodzaju tych niebezpiecznych i lepiej będzie już iść bez oglądania się za siebie. Ale za rękaw bluzy mnie trzymał. Kiedy złapał nie wiedziałem, ale chciałem aby puścił.

- Cholera jasna! Puści mnie pan, czy po gliny mam dzwonić?! – zakrzyknąłem.

- Puszczę, jak dokona pan zakupu.

Szajbus jak nic – pomyślałem i nerwowo rozejrzałem się wokół, ale ani żywej duszy – nie wiem, jak to

było możliwe, przed chwilą wokół panował zgiełk i gwar, a teraz cisza jak makiem zasiał.

- Eee... - nieudolna próba kunktatorstwa skłoniła mnie do podjęcia jedynej, racjonalnej decyzji, bądź co bądź dyktowanej strachem. – Kupię.

- I taka odpowiedź jest właściwa. – Uśmiechnął się odsłaniając złote jedyńki.

- Sen za spełnienie.

- Sen za spełnienie – zawtórowałem mu, zdeorientowany.

- Na dowód dokonania zakupu uściśnijmy sobie dłonie. – I swą wielką grabą, niczym imadłem, zdusił moją dłoń tak mocno, aż pojawiła się na niej zaczerwieniona, opuchnięta narośl.

Dotarłem do domu. Nic nie powiedziałem o całym zdarzeniu Celinie, bezskutecznie starając się wymazać je z pamięci.

Dzień mijał ospale, a ja, ku swemu zdziwieniu, z niecierpliwością wyczekiwałem tego, co ma się wydarzyć nocą. Słońce uparcie tkwiło w zenicie. Pierzaste chmury ospale sunęły po bladym niebieskim sklepieniu. Wyczekiwałem nocy. W końcu nadeszła.

Celina już dawno odbywała taniec w Morfeuszowym objęciu, a ja przewracałem się u jej boku nie mogąc do nich dołączyć. Dochodziła północ i nadal nie byłem w stanie zmrużyć oczu. Potrzebowałem snu. Był moją regeneracją. Dawał ujście wszelkim dziennym zmaganiom. Pozwalał wypocząć skołatany nerwom. Przenosił w świat, który koił.

Wraz z posuwającym się czasem, niepokój przybierał na mocy. Około drugiej chwyciłem za ołówek, aby wypisać słowa rymowanki, którą tak skwapliwie obdarował mnie sprzedawca:

Gdy sen zmorzy - się pojawi

Przyszłość twoją ci objawi.

Sprawi, wznieci i wskaże...

Musisz tylko rzec: ja marzę!

Wyszeptałem: ja marzę. Może to jest sposób? Może w tym szaleństwie jest jakaś metoda? Ja marzę, ja marzę, ja marzę... z szeptu przechodziłem w głośne, nachalne powtarzanie tych dwóch słów. Coraz donośniej, szybciej. Raptownie! W końcu padłem wyczerpany na łóżko.

Ale... Wyszeptałem jeszcze raz słowa wierszyka. Chwila... Warunek pierwszy: gdy sen zmorzy...

Ja też, jako autor, pytam swej Muzy o co jej chodziło? Odczuwam dezorientację, podobnie jak bohater

tej opowiadki, a wręcz rozczarowanie. Nie wiem, dlaczego nie zauważył haczyka? Czy w swej naiwności i wierze w zbyt łatwe osiągnięcie szczęścia utracił czujność? Czym chciał wykarmić swoje marzenia? Obietnicą nieznajomego? Do tego ze złotymi siekaczami? I, czy nieznajomy był istotą fizyczną, czy tylko głosem – bliskim, bądź bardzo odległym? Czyim?

Zostawmy ten lekko niepokojący wątek, mający być przyjemnym, a w efekcie wprowadzającym tylko dreszczyk rozgoryczenia. Skupmy się od razu na czymś, co wcale przyjemne nie jest. Już wiesz, że nie będzie to miła, relaksacyjna, ani zabawna historyjka. Tylko taka z serii: życie i jego odcienie. Chyba, że Pani Wena znowu sobie z nas zakpi, zatem mówię jej: „Kochana, nie drwij sobie! Przy tej lekturze powinno się odpocząć. Ja chcę odpocząć i Czytelnik też.” Kiwa głową, że się zgadza, ale uśmiecha się zbyt ironicznie. Zbyt chaotycznie poprawia włosy i zagubionym wzrokiem lustruje pokój; do tego unika mojego spojrzenia. A teraz skubie swoją wełnianą, długą sukienkę. Nie wiem co dla nas szykuje. Sprawdźmy.

Wspomnień czar

Poszłam tam, zaciągnięta siłą w postaci argumentu zwanego kawą. Wymówkami w stylu: „ale muszę załatwić pilną sprawę urzędową; zakupy zrobić, bo w lodówce tylko światło; mieszkanie wysprzątać; mam włączone żelazko...” nic nie wskórałam, jedynie sama pogubiłam się w tej marnej argumentacji, co zakończyło się irytująco-wyczekującym spojrzeniem pani Ludmiły. Z wyrzutami sumienia, że zakłócam jej spokój ruszyłam za sympatyczną sąsiadką.

Zdecydowanie można określić ją mianem optymistki. Jej subtelne rysy twarzy często zdobi uśmiech, a cała postać aż kipi energią. Porusza się bardzo żwawo, chociaż - jak to mawiają - ma już swoje lata. Ale, co właściwie oznaczają „swoje lata”? Czy rolą tego opisu jest tylko naznaczenie. Przynależnością, pracą, doświadczeniem, czasem?

- Siądź tutaj, moje dziecko – powiedziała wskazując obszerny, obity turkusową tkaniną, fotel.
- Dziękuję. Może zrobię coś do picia? – zaoferowałam się w podzięcie za jej zaproszenie.
- Nie, nie. Jesteś moim gościem, więc siadaj i nie marudź. – Uśmiechnęła się i podreptała w kierunku kuchni, z której docierał przyjemny zapach wywaru warzywnego obficie doprawionego natką pietruszki.

Rozglądałam się po wyblakłych ścianach, obrazach w rzeźbionych ramach, paprociach, różnobarwnym tureckim dywanie i bambetlach stanowiących ozdobę starej komody. Gdy skupiałam całą swoją uwagę na stojącej pośrodku fotografii, wróciła pani Ludmiła.

- Proszę bardzo z mlekiem, a tu masz cukier. – Podała mi przepiękną, porcelanową cukiernicę.
- Przepraszam, że pytam... - wyjąkałam. – Kto jest na tym zdjęciu? – ruchem głowy wskazałam na frapującą mnie podobiznę mężczyzny i kobiety stojących w objęciu na tle drewnianego domu.

- A... to ja, gdy byłam znacznie młodsza i piękniejsza. – Uśmiechnęła się w sposób, który wskazywał, że czuje muskanie wiatru, który wtedy rozwiewał jej długie włosy. Tak, jakby dziewczyna ze zdjęcia nagle powróciła ze swą młodością i wigorem.
- A ten mężczyzna obok? Bardzo przystojny – zauważyłam.
- Oj, to długa historia... a jak tam twoje włączone żelazko? – zażartowała.
- Ależ pani Ludmiło, dobrze pani wie, że nie chciałam się narzucać, stąd wymówki. Sądziłam, że przez czystą uprzejmość pani mnie zaprasza, że w rzeczywistości wołałaby pani się przespać, albo obejrzeć jakąś telenowelę.
- Telenowelę? – zapytała rozbawiona. – Oj, kochana... wróćmy do zdjęcia. To jest Kazimierz. Poznaliśmy się pewnego lata, gdyśmy oboje bawili u kuzynostwa w maleńkiej, malowniczej miejscowości o sympatycznej nazwie Podniebno.
- Podniebno... - powtórzyłam, zachwycając się nietypowością, przywodzącą na myśl abażur z chmur.
- Oboje zafascynowani światem i sobą. Młodość nie potrzebuje afrodyzjaków, wiesz? – zamilkła pełna zadumy, spoglądając w jakiś odległy punkt, znajdujący się poza ramami fotografii, kształtem komody, ścianami mieszkania, czasem, w którym obie tkwiłyśmy.
- Chyba wiem – odpowiedziałam bardziej sama sobie. Posłodziłam kawę, wypilałam łyczek i oczekiwałam dalszego ciągu opowieści. Pani Ludmiła, jakby celowo przeciągała moment kontynuacji.
- Pani Ludmiło, jak się poznaliście? – zapytałam zniecierpliwiona, bez stosownego taktu, który powinien towarzyszyć wspomnieniom.
- W sposób dosyć brutalny. Z pewnością nie można zaliczyć naszego pierwszego spotkania do romantycznych. - Śmiejąc się głośno, wstała i przemierzyła powolnym krokiem pokój. – A były akurat sianokosy. Wozy pełne suchej, pachnącej trawy i wplecionej w nią polnego kwiecia. Przy pomocy męskiej braci wgramoliłam się na jeden z takich kopców, do którego zaprzęgnięty był gniady koń.
- I co?
- I spadłam wprost na Kazimierza, gdy byliśmy na zakręcie. Wuj zrobił za mały łuk skręcając za wcześnie i drewniany dyszel pękł na kamiennej piwnicy.
- Ale jak? – pytałam, nie mogąc sobie wyobrazić pani Ludmiły na baranach u Kazimierza.
- Tak, jak się spada. Na tyłek – odparła rozbawiona moją miną i niedowierzaniem.
- Ale... złapał?
- Złapał i to porządnie. Złapał na długie lata, ale...
- Ale co?
- To były niedobre czasy dla miłości. Dla nas.

- Czyli to koniec? I tyle? Pani Ludmiło, nie może mi pani tego zrobić! – zareagowałam dosyć impulsywnie, oczekując dalszego ciągu.

- Kazik wyjechał, gdzieś do rodziny. Daleko, za granicę. Trochę pisał. Jego listy trzymam do dzisiaj, przewiązane wstążką, tą którą miałam wplecioną w warkocz tego dnia kiedy wpadłam wprost w jego ramiona.

- Miała pani kogoś potem? Drugą, trzecią, czwartą miłość?

- Eh, wy młodzi. Ten praktycyzm mnie jednocześnie onieśmiela i rozbawia.

- Takie życie, pani Ludmiło.

- Imitację zwiesz życiem? Próbę zastąpienia? Dostosowanie do aspektów społecznych?

Gdy już otwierałam usta, aby odnieść się do zapytań pani Ludmiły, zadzwonił dzwonek u drzwi.

- Dzień dobry. Polecony do pani. – Dosłyszałam męski głos.

Po chwili pani Ludmiła wróciła trzymając w dłoniach podłużną, pośliskłą kopertę. Drżącymi z emocji dłońmi otworzyła ją i wręczyła mi, abym przeczytała, argumentując swą prośbę tym, że słabo widzi bez okularów, a jak najszybciej chce poznać treść.

Otworzyłam.

Wena raptownie wstaje, omiata zaniepokojonym wzrokiem pokój. Jej nagłe poruszenie wskazuje na to, że musiała sobie przypomnieć coś pilnego. Coś, co wymaga natychmiastowej interwencji. Wychodzi zmieszana, zaniepokojona i zniecierpliwiona, mówiąc na odchodne:

- Wrócę nim zmierzch nadejdzie!

Wszystko byłoby dobrze, gdyby dodała, który zmierzch. Dzisiejszy, jutrzejszy, ten za rok, trzy lata?

Pozostawia rozbudzony fotel na biegunach, kilka wełnianych kłaczek, zapach rozgoryczenia i napięcia powodowanych wyczekiwaniem.

Zastanawiam się, co mogło być w kopercie? Może list od kogoś kto był po Kazimierzu? Dlaczego, więc pani Ludmiła nie podzieliła się z dziewczyną informacjami o kolejnym uczuciu? I czy takowe było, skoro sąsiadka, poprzez wystosowanie subtelnych pytań, stanowczo temu zaprzeczyła? Jeśli zaprzeczyła, to jaki mógł być powód? Czy było nim mniejsze oddziaływanie kolejnego partnera na jej wspomnienia? Nic nieznaczący, ulotny romans?

A może to Kazimierz nakreślił list miłosny, może już ostatni? Albo informację, że wraca, że chce się z nią zobaczyć? Że powinni nadrobić stracony czas?

Zbyt optymistycznie. Fakt, to nie przejdzie.

Zatem, co mogło tam być?

Słucham? Propozycja ubezpieczenia na życie? Zbyt realne.

Wiem! Wiadomość, która się zagubiła kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt lat wcześniej. Została odebrana przez anonimowego odbiorcę, który bez naruszenia jej struktury zamknięcia włożył ją do szafy na strychu, zapominając całkowicie o swym nabytku. Ale jego wnuczka - przy okazji porządkowania starych, rodzinnych dokumentów - odnalazła list w zeszłą środę i postanowiła odesłać pod adres osoby o imieniu i nazwisku widniejącym na pożółkłej kopercie. Co nie było trudne, bo bez problemu odnalazła namiary na panią Ludmiłę w książce telefonicznej. I tak po wielu latach list trafił do prawowitego adresata.

Tylko znów pytanie: kto go napisał?

A może związek pani Ludmiły z Kazimierzem zaowocował potomstwem? Synem? Córką?

A jeśli koperta była pusta? Albo był w niej czek, który dziś nie posiada żadnej wartości? Albo coś znacznie cenniejszego od materialnych rzeczy? I co to mogłoby być?

Eh... Weno, gdzie jesteś?!

Spoglądam przez okno. Widzę ją. Zmieniła suknię na letnią, woalową, białą na ramiączka w czerwone kwiaty. Zrywa chabry, stokrotki i maki. Wokół niej fruwały wielobarwne motyle i nasiona z dmuchawców. Chyba coś nuci. Tak, porusza ustami i wtóruje ciałem w sposób, który wskazuje na wyśmienite wyczuwanie rytmu.

Może wyśpiewuje tajemnicę, jaką zawierała koperta?

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

retro, dodano 26.05.2016 12:05

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.